

Polsko, najwierniejsza córko Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?!

Piotr Bogdanowicz

Mija 1050 lat od chrztu Mieszka I, momentu, który uważany jest za symboliczny chrzest ówczesnej Polski, załączka naszej państwowości i praworządności, egzystującego pod przewodnictwem jednego człowieka – księcia, a później króla. 1050 lat chrześcijaństwa, którego korzenie sięgają Golgoty i pustego grobu. 1050 lat zwycięskiego pochodu Chrystusa przez ziemię Europy Środkowej. W końcu 1050 lat tradycji budowanej na chrześcijańskiej wizji świata. W porównaniu z Zachodem to niewiele, a jednak na tyle dużo, żeby poszczycić się ogromnym wkładem i wielkimi osiągnięciami w rozwoju kultury, nauki, szkolnictwa i formacji życia narodowego oraz społeczno-politycznego. Przede wszystkim jednak jest to ogromna praca na polu duchowym. Tak wielu świętych i błogosławionych, liczne służby i służebnice Boże, niezliczone rzesze bezimiennych świętych, bohaterów narodowych, ludzi czyniących wielkie, dobre dzieła oraz te proste i ciche czyny miłosierdzia. Próżno szukać ich w zawodnej ludzkiej i społecznej pamięci, a jednak żyją oni – w co mocno wierzymy – niezapomniani, wynagrodzeni w Boskim Logosie.

Sam jednak chrzest nie broni przed upadkiem. Podczas mojej wędrówki do Santiago de Compostela naocznie przekonałem się o tym, co słyszałem i czytałem o współczesnej europejskiej *Christianitas*. Spustoszona winnica okazuje się być nie tylko chwytliwym tytułem książki, czysto teoretycznym gdybaniem albo krzykliwą manifestacją niezadowolenia rozhisteryzowanych tradycjonalistów. Diabeł ma spore używanie, a pole jego popisu systematycznie rozszerza się, ogarniając kolejne społeczności i przestrzenie ludzkiego życia. Polska, włączona przed tysiącem lat do zaszczytnego grona krajów katolickich, również nie uniknęła ciosów zadawanych przez księcia ciemności. Wielu zapewne

doskonale pamięta wstrząsające pytanie, jakie zadał Francuzom św. Jan Paweł II w 1985 roku: „Francjo, najstarsza córo Kościoła, co zrobiłaś ze swoim chrztem?”. Myślę, że to pytanie należy postawić dziś wszystkim krajom należącym do europejskiej *Christianitas*, także Polsce.

Kościół na przestrzeni wieków przeszedł wielkie przeobrażenia nie tylko w wymiarze instytucjonalnym, kultycznym, duchowym, lecz także społecznym, wspólnotowym. Przemiany te w wielu przypadkach postępowały równolegle, a nawet razem ze zmianami zachodzącymi w świecie szeroko rozumianego *profanum*. Można rzec: *Kościół wciąż odnawiający się*. Jednak mówiąc o *Ecclesii*, mamy na myśli Kościół w jego wymiarze instytucjonalnym czy raczej Kościół jako Lud Boży, królewskie kapłaństwo? Choć odpowiedź dla wielu może być oczywista, to wciąż jest to ważne rozróżnienie. Spoglądając bowiem przez pryzmat instytucji (a mamy przecież do tego mocne skłonności, w jakimś sensie stało się to dla nas naturalne, że Kościół kojarzymy tylko z duchowieństwem, a nie z sobą), to czy do owego *ciągłego odnawiania się* zaliczymy także kryzys, jaki rozpoczął się w jego strukturach po Soborze Watykańskim II? Patrząc z kolei na Kościół jako Lud Boży, oblubienicę Chrystusa, w jego ciągłą odnawialność wpisujemy też kryzys wiary, ducha, kryzys nadziei i miłości, z jakim nie potrafimy sobie poradzić, a który wybuchł drastycznie w ostatnich wiekach i trwa do dziś?

Kościół jest Matką, a zatem jak każdy rodzic może ponieść wychowawczą porażkę, choć nie każdy, a właściwie niewielu z pełniących służbę władzy rodzicielskiej nad swoimi pociechami zdaje sobie z niej sprawę, dopóki ona nastąpi. Bóg przeciwnie, jako Ojciec zdaje się z tym liczyć, inaczej bowiem nie dopuszczałby nawet możliwości istnienia piekła. Z jakiegokolwiek perspektywy spoglądamy na Kościół, nie sposób nie dostrzec toczącego go kryzysu zarówno w przestrzeni instytucjonalnej, jak i mistycznej. Drastycznie spadająca liczba osób uczestniczących regularnie w niedzielnej Eucharystii oraz tych, którzy otwarcie przyznają się do przynależności do Kościoła katolickiego. Narastająca wrogość do instytucji Kościoła. Skrajna indywidualizacja wiary kosztem porzucenia jej wymiaru wspólnotowego. Postępująca sekularyzacja. Widoczne w wielu miejscach zeświecczenie duchownych

i klerykalizacja świeckich. Rozwój i coraz większa akceptacja dla ruchów i stowarzyszeń o charakterze sekciarskim. Coraz częściej spotykane agresywne formy ateizmu. Popadanie w zabobon, wróżby i gusła. Relatywizm moralny, odrzucenie pojęcia prawdy absolutnej, zły dobór autorytetów, niewłaściwe porządkowanie priorytetów. Znieczulenie społeczne, gwałcenie prawa naturalnego, uprzedmiotowienie człowieka. To tylko nieliczne przykłady wielkiego kryzysu duchowego, którego obecnie jesteśmy świadkami. Świat – globalna wioska stała się rzeczywistością, która z nikim się nie liczy i za nic nie chce brać odpowiedzialności. Niegdyś schryścianizowana społeczność europejska (i nie tylko) staje się neopogańska, a wraz z nią szeroko rozumiana kultura, która za nic ma jednostkę, ponieważ opiera się na wyzysku i przemocy. Niestety przenika to także do wymiaru *sacrum*.

Jesteśmy świadkami zmagania Kościoła z nową sytuacją, w jakiej się znalazł. Zazwyczaj jego działalność misyjna opierała się na głoszeniu Chrystusa tym, którzy nigdy wcześniej o Nim nie słyszeli, lub na nawracaniu heretyków. W ciągu wieków, metodą prób i błędów, wypracował w końcu ogólną zasadę inkulturacyjnego przekazywania wiary przyszłym Bożym dzieciom, mającym narodzić się w wodach chrztu świętego. Dziś jednak sytuacja jest zgoła inna. Kościół stoi przed albo raczej między ludźmi, którzy kiedyś już o Chrystusie słyszeli, którym głoszone orędzie zbawienia, lecz z różnych powodów zostało ono przez nich odrzucone. Są też i tacy, co odrzucili nie tylko orędzie głoszone przez Kościół, lecz także samego Boga. Przyczyn tego odrzucenia jest tyle samo, ile osób, które tego dokonały. Można jednak spróbować uogólnić je i przedstawić w postaci sformułowań kluczy. Tym sposobem umieścimy tutaj krzywdy wyrządzone przez ludzi Kościoła, ponadto pychę, hedonizm, obojętność, chciwość, pragnienie władzy, tragedie życiowe, dramaty etc. Wszystkie one związane są albo z wydarzeniami „losowymi”, albo z grzechem, który zrywa więzi i ciężko rani, który potrafi tak sponiewierać człowieka, że przez lata budowany obraz Boga jako Ojca szybko zostaje zniszczony, a w Jego miejscu pozostaje pustka, otchłań oraz ciemność. Wielu powtarza, że jeśli przez lata, od maleńkości, budowało się w dziecku zdrowy, solidny fundament wiary, to nic nie jest w stanie go zniszczyć, a jeżeli dochodzi do upadku

¹ Wymownym jest fakt, że nas, Polaków, ostrzegał przed tym już Prymas Polski ks. kard. August Hlond. W swoim liście pasterskim z dnia 23 kwietnia 1932 roku napisał: „Nie można więc z prawem przyrodzonym pogodzić pewnych współczesnych dążeń do zupełnego podporządkowania obywateli celom państwowym, do wyznaczania obywatelom jakiejś służebnej roli i do rozciągania zwierzchnictwa państwowego na wszystkie dziedziny życia. Regulowanie każdego ruchu obywateli, wtłaczanie w przepisy państwowe każdego ich czynu, mechanizowanie obywateli w jakiejś globalnej i bezimiennej masie jest sprzeczne z godnością człowieka

i z interesem państwa, bo zabija w obywatelach zdrowe poczucie państwowe. Klęską dla idei państwowej musi się skończyć sprowadzanie obywatela do biernego świadka życia państwowego, do płatnika, niemającego wglądu w to, co się z grozom publicznym dzieje, do niewolnika, zaprzęgniętego przymusowo do państwowego rydwanu. Daleko gorzej, jeżeli Państwo nakłada obywatelom nieznośne ciężary, jeżeli się do nich wrogo odnosi, jeżeli ich ciemni, jeżeli nimi systemem terrorystycznym rządzi, jeżeli im poglądy i przekonania narzuca, jeżeli w dziedzinę wierzeń religijnych wkracza i sumieniom gwałt zadaje”. Słowa te nie odnoszą się li tylko do późniejszych ustrojów totalitarnych, które jawnie krwią niewinnych rozlały się po Europie. Podobny mechanizm działania dostrzega się dzisiaj, kiedy w imię partykularnych korzyści jakaś grupa społeczna, poprzez prawo stanowione, legitymizuje i narzuca jednostkom określone zachowania bez względu na indywidualny osąd ich sumień.

w wierze, to znaczy, że tego fundamentu nie było. Nie zgadzam się z tym. Jedynym wiecznotrwałym fundamentem, jaki mamy, jest nasz chrzest, zanurzający w śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa. To łaska chrztu, ta niezacieralna pieczęć przynależności do Boga, jest tym, co pozwoli w razie kryzysu zbudować życie wiary od podstaw. Wszystko inne podlega zniszczeniu, wszystko inne jest kruche i niepewne.

Pytanie brzmi: jak głosić Chrystusa ludzkości, która z jednego dziejowego zakrętu, jakim były systemy totalitarne, weszła w kolejny wiraż, w którym też giną miliony, również w świetle prawa stanowionego, i do tego za przyzwoleniem większości? Nie ma dziś komór gazowych, obozów koncentracyjnych i pracy. Są kliniki aborcyjne, specjaliści od eutanazji i praca w systemie korporacyjnym, w którym człowiek nie ma czasu na to, by zastanowić się, jak się nazywa. Na obu tych zakrętach wrogiem staje się chrześcijaństwo – Chrystus, który woła do ludzkich sumień głosem Ewangelii, Dobrej Nowiny, głosem Kościoła. Dlaczego? Ponieważ obnaża On prawdę o tym, że mamy do czynienia z nowym, zakamuflowanym totalitaryzmem, dla którego zdanie jednostki się nie liczy. Istotna jest tylko efektywność pracy, względnie dobre samopoczucie i rozwój państwa¹. Wypędza się Boga ze szkół, ulic, rodzin i małżeństw, a nawet z kościołów, lecz nie zastępuje się Go niczym innym. Pustkę powstałą w tym bogobójczym zrywie próbuje się zasypać przyjemnością i dobrami materialnymi, doprowadzając do zamiany ról. To, co do tej pory miało wymiar służebny względem ducha, stawia się na piedestale, upadlając człowieka i cofając go w rozwoju wewnętrznym do poziomu człowieka pierwotnego, który czcił góry, błyskawice

i wulkany. Jest tu jednak pewna zasadnicza różnica. Ówcześni ludzie upatrywali w tym jakąś siłę wyższą i *ci jednak na mniejszą zasługują naganę, bo wprowadzie błędzą, ale Boga szukają i pragną Go znaleźć* (Mdr 13,6). *Albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty – wiekuista Jego potęga oraz bóstwo – stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła* (Rz 1,20).

Jak głosić Chrystusa, Boga żyjącego, Tego, który JEST i który przemawia w ciszy ludzkiego serca, światu neurotycznie bojącemu się milczenia, niechzącemu słuchać? Brak postawy słuchania staje się wyznacznikiem postępowania pędzącej do przodu ludzkości. Żeby słuchać, trzeba się zatrzymać, trzeba skoncentrować swoją uwagę, trzeba słyszeć. Ale na to nie może być miejsca w tym świecie, który wciąż pogania: „Szybciej! Nie ma czasu!”. Ojciec Marian Zawada OCD pisze: „Ogromne zło wychowawcze polega na tym, że młodzieży *zabierane* jest milczenie. Jest to skazywanie ich na to, by pozostali *nieczyteln*, by byli swoistą masą. Młody człowiek nie uczy się bowiem rozróżniać i wartościować głosów, które dochodzą do niego, a które, właśnie dlatego, że *dochodzą*, formują go. Przez to jest spychany w *zewnątrzne*. Dla takiego człowieka Bóg ma jedyną drogę powrotu, cierpienie. Cierpienie jest zdzieraniem nawarstwień, odblokowywaniem drożności, przywracaniem ładu. Cierpienie najszybciej draży kanały ku *wewnętrznemu*. Współgra tu doskonale cała logika krzyża... W cierpieniu wszystko inne pozostaje *zredukowane* do minimum”². Czy naprawdę wobec każdego człowieka należy dziś zastosować metodę zrzucania z konia, tak jak to było z Szawłem z Tarsu?

Czy Polska i Polacy potrafią spojrzeć na siebie, na własną historię (szczególnie lat ostatnich) i uświadomić sobie, że żyjemy w świecie, w którym do siebie krzyczymy? Czy jest w tym jeszcze miejsce dla Boga, szczególnie Tego, który żyje w drugim człowieku? Czy potrafimy rozpoznać zagrożenia płynące z odrzucenia prymatu Boga oraz odnaleźć siłę, by im się przeciwstawić? Kiedy w końcu docenimy znaczenie własnego chrztu, który wszczepił nas w Chrystusa? Kiedy zaczniemy świadomie żyć mocą Bożą wypływającą z tego pierwszego sakramentu? Dlaczego tak bardzo bulwersuje nas grzech drugiego, a szczególnie gdy popełnia go człowiek Kościoła, a wobec siebie jesteśmy tak pobłażliwi? Dlaczego tak łatwo przychodzi nam podnosić wymagania wobec

² M. Zawada, *Zaślubiny z samotnością. Znaczenie milczenia, samotności i ukrycia na drodze do Boga*, Kraków 1999, s. 82.

otaczających nas ludzi, zaś my sami wciąż szukamy dróg ucieczki przed tymi, które ktoś inny ma w stosunku do nas? Dlaczego w imię *świętego spokoju* potrafimy porzucić wszystko to, z czego wyrosliśmy, co nas wyraża i określa? Dlaczego wciąż osądzamy, potępiamy i skreślamy człowieka zamiast złego czynu, którego się dopuścił, a dla siebie oczekujemy miłosierdzia? Skąd w nas tyle zazdrości, zawiści, złości i nienawiści? Czy nie z grzechu, który w nas mieszka?

Tak. To właśnie grzech nie pozwala nam żyć wiarą, nie pozwala cieszyć się własnym chrztem, wypędza z życia radość i rozsiewa smutek oraz rozpacz. Grzech krzyczy, życie powstaje w ciszy. Grzech niszczy, życie rozwija i buduje. Grzech niweczy, życie daje szansę. Grzech uśmierca, życie jest płodne. W naszym narodowym rozkrzyczanym życiu, w naszych narodowych i osobistych wadach, w naszym braku umiejętności słuchania drugiego wyraźnie objawia się ubóstwo grzechu – nasze ubóstwo. Znowu pozwolę sobie na przywołanie obszernego fragmentu z książki ojca Zawady: „Grzech jest najtragiczniejszą formą duchowego osamotnienia. Człowiek błędząc, wchodząc na teren grzechu, czyli sprzeciwu, zamachu wobec porządku Najwyższego, nie może już nic znaleźć oprócz dotkliwej samotności. Zrywa bowiem zasadniczy kontakt z Bogiem, z Kościołem, z samym sobą, z własną głębią i pograża się w duchowej śmierci, wszystko, czym jest i do czego dąży w swym ostatecznym przeznaczeniu, ulega sparaliżowaniu. Samotność owa jest plonem *zaślepienia*. Osamotnienie grzesznika wyrasta na ziemi *niepojednania*. Umacnia się człowiek *niepojednany*, który ma serce *wyćwiczone w chciwości* (2 P 2, 14), gromadząc w nim gorycz nienawiści. Chciwość staje się ucieczką od samotności. Napełnianie się doświadczeniami, pragnieniami, chciwość pieniędzy, nowości, osób, władzy to różne formy posiadania, które mają wynagrodzić *nieposiadanie* siebie i nieposiadanie Boga, które mają zagłuszyć przerażającą pustkę i przesłonić spustoszenie wewnętrzne. Pozorne życie uwielbia pozorność form. Samotność grzechu objawia, że człowiek nie chce być synem Boga – pozostaje bez dziedzictwa. Tu grzech demaskuje swe absolutne ubóstwo”³.

Trzeba wrócić do chrztu, do jego przemieniającej mocy. To powinno być głównym zadaniem dla Kościoła w Polsce. Trzeba powrócić do chrztu, ale nie tylko do tego sprzed 1050 lat (dziś

³ Tamże, s. 140-141.

jest on tylko symbolem), lecz do tego, który każdy z nas przeżył osobiście, którym został obdarowany – zawsze niezasłużenie. Trzeba na nowo nauczyć się nim żyć, korzystać z niego, na nim się opierać, i to tak, bym mówiąc *Kościół*, natychmiast wiedział, że mówię także o sobie. Sam osobiście otrzymałem szansę takiego powrotu w czasie mojej samotnej wędrówki. Widok i doświadczenie różnych wspólnot katolickich oraz moje własne sprawiły, że na nowo uświadomiłem sobie, jak ważny, jak kluczowy jest to sakrament – dar darmo dany, dar zobowiązujący. To z niego wypływa m.in. wielka moc błogosławieństwa – z którego coraz rzadziej korzystamy – począwszy od prostego znaku krzyża wykonywanego na sobie samym, przez błogosławieństwo, jakim rodzice obdarowują każdego wieczoru przed snem swoje dzieci lub siebie nawzajem albo które odmawiamy nad wigilijnym stołem i przed każdym posiłkiem. Nauczyłem się, że aby odkryć sens mojego bycia chrześcijaninem, muszę wrócić do korzeni, muszę nauczyć się żyć chrztem, nauczyć się oddychać w śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa, w które zostałem zanurzony. A żyć chrztem to znaczy żyć błogosławieństwem, to świadomość bycia błogosławionym także w mojej skłonności do grzechu (*moc bowiem w słabości się doskonalą* – 2 Kor 12,9), a błogosławiony znaczy szczęśliwy. Ta świadomość pozwala szybko powstać z grzechu, który przestaje mieć dominujące znaczenie w życiu chrześcijańskim skierowanym bezpośrednio na Zmartwychwstałego Pana.

Wiele padło tu słów o grzechu, o tym, co niewłaściwe i złe. Ostatnie słowo jednak zawsze należy do Boga, który nieustannie czuwa nad nami i zapewnia: *Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska, aby jak grzech zaznaczył swoje królowanie śmiercią, tak łaska przejawiała swe królowanie przez sprawiedliwość wiodącą do życia wiecznego przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego* (Rz 5,20n).

Mieście odwagę: Jam zwyciężył świat (J 16,33). ■

(Autor tekstu 20 czerwca A.D. 2015 wyruszył z progu własnego domu w Rybniku w samotną, pieszą wędrówkę do Santiago de Compostela. Ukończył swój pielgrzymi marsz po 110 dniach – 6 października. „Christianitas” patronowało tej pielgrzymce).